

Bohdan

PETECKI



**KOGGA Z
CZARNEGO
SŁOŃCA**

Bohdan Petecki

KOGGA Z CZARNEGO SŁOŃCA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-80-9

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1978

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Chodnik przemknął estakadą, spinającą zielone skarpy trzeciej obwodnicy. Opuściłem wewnętrzny krąg miasta. Droga biegła lekkimi zakosami pod górę, a dalej niknęła w dół, pomiędzy zadrzewionymi tarasami, schodzącymi z niewysokich wzniesień.

Było pusto i cicho. Nawierzchnie chodników lśniły jak wypolerowane. Korony drzew stały bez ruchu. Jak okiem sięgnąć, śladu żywego ducha.

Pod następnym mostkiem, ślimacznicą wyprowadzającą na tachostadę, sunął ciężki pojazd. Od wysokiego syku jego sprężarek przez moment zamrowiło mi w szczękach. Na owalnej platformie posuwał się powoli jeden z tych wrzecionowatych, przyplaszczonych domków, podobnych do pękatych łodzi, odwróconych do góry dnem. Przeprowadzka. Ostatnio w trivi pełno było ofert proponujących zamianę parcel na bardziej górzyste lub nadwodne, na odkrytej płaszczyźnie bądź zalesione. Cóż, moda jak każda inna. Jej ubocznym efektem był fakt, że wszystkie budowane ostatnio domki stały się do siebie podobne. W każdym razie musiały mieć identyczne podstawy, żeby ich mieszkańcy mogli w każdej chwili wezwać transporter, jak ten, który dziesięć metrów pode mną piał się teraz mozolnie na tachostadę, i by na nowym miejscu fundamenty przenośnych willi nie wymagały żadnych przeróbek. Oczywiście chodzi o domki stawiane w dzielnicach zewnętrznych. Ale któż chciałby teraz mieszkać w śródmieściu?

Minąłem estakadę i znalazłem się w najwyższym punkcie chodnika. Pasma wzgórz na bliskim widnokręgu zapłonęło czerwienią. W płytkich wąwozach, łagodnych, zielonych żlebach i zaklęśnięciach terenu z wolna gęstniał fioletowoczarny mrok. Kiedy droga obniżyła się, pomiędzy brzoź, sosen i modrzewi poczęły strzelać ku mnie ostre, sekundowe błyski. Fotokomórki uruchamiały szklane ściany jajowatych sadyb, zawczasu chroniąc ludzi przed chłodem. Te ściany opadały teraz jak skrzydła, przechwytyjąc w ruchu ostatnie promienie słońca.

Chodnik biegł już wąskim pasem wśród zieleni. Spokój w powietrzu i na ziemi stał się niemal dotykalny, trafiał do wszystkich zmysłów, gładził włosy, skórę twarzy i uciszał myśli. Poeci potrafią zachłystywać się takim spokojem i robią to z czystym sumieniem, odkąd tak samo cicho i bezpiecznie jest wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie. Bywały chwile, w których poddawałem się nastrojom, wspominając, że mam swoją część w ładu i harmonii naszego świata. W tym, że ludzie są syci, pewni jutra i że nie ma wśród nas nikogo, kto nie mógłby sobie pozwolić na wrażliwość. Dziś jednak ten majowy wieczór, pełen gasnącego światła, nie ofiarował mi niczego prócz pytań, na które nie było odpowiedzi innych niż fałszywe.

Przejechałem jeszcze ze trzydzieści metrów, po czym zeskoczyłem na wąską ścieżkę, wysypaną jasnoniebieskim żwirem. Cztery znane mi kamienne schodki prowadziły do niskiej furtki pod krótką pergolą, której cienkie rusztowanie oplatały kolczaste gałązki. Zatrzymałem się na wprost oka domowego komputera. Chwilę później furtka rozplynęła się w powietrzu, w głębi ogródka błysnęły otwierane drzwi i na tle mrocznego wnętrza, rozjaśnionego jedynie resztkami słonecznego światła, wpadającymi przez boczne okna przedsiionka, stanęła Avona.

Kiedy się zbliżyłem, skinęła głową, a potem lekkim ruchem odrzuciła do tyłu kosmyk długich, kasztanowych włosów, który opadł jej na policzek. Następnie cofnęła się o krok.

– Wejdz – powiedziała. Głos miała niski, matowy.

Wchodząc do pokoju odruchowo zerknąłem na kompon. Za pięć ósma. Nie za późno na wizytę. Ale musiałem przyjść tutaj, nawet gdyby było już po północy.

Wprowadziła mnie do pracowni. Panował w niej półmrok. Jedna ze ścian nadal była otwarta i wraz z nikłą poświatą zachodu do wnętrza przedostawał się głośny śpiew kosa, który akurat w tym momencie rozpoczął swój wieczorny program. Tuż za ustawionym ukośnie

pulpitem, nie wiadomo, czy już w ogrodzie, czy jeszcze w głębi pokoju, kwitły dwa rozłożyste migdałowce.

Podszedłem prosto do niskiego, obrotowego fotela i usiadłem.

– Napijesz się czegoś? – spytała, wywabiając ruchem ręki beczkowaty bufecik, który przemknął przez pokój, by zatrzymać się tuż przede mną.

– Tak – skinąłem głową. – Wszystko jedno czego. Muszę z tobą porozmawiać.

Podawała mi szklaneczkę napełnioną do połowy złotawym płynem.

– I ja tak myślę – powiedziała cicho, bez uśmiechu.

Odwrociłem się z fotelem w stronę ogrodu. Kiedy przyszedłem tutaj pierwszy raz, także o zmierzchu, ten widok sprawił, że zapomniałem o całym świecie. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Ale nie znałem jeszcze wtedy podmiejskich dzielnic, nie wiedziałem, że niemal wszyscy ludzie mieszkają w takich właśnie, wkomponowanych w zielen szklanych altanach. W ogóle niewiele wiedziałem o Ziemi. Od siedemnastego roku życia tłukłem się po stacjach satelitarnych, by wreszcie osiąść w filii Centrali Obsługi Gigama na orbicie Plutona. Razem z Nettem. I razem z nim przeniosłem się po kilku latach do sztabu Centrali, w kraterze Kopernika na Księżycu. Wtedy zaczęliśmy częściej bywać na Ziemi. Także razem. Nie był moim przyjacielem. Ale nie przyjaźniłem się z nikim. Tacy jak my rzadko miewają przyjaciół. Nie wynika to ani z konieczności, ani też z przemyśleń. Może ich nie potrzebujemy? A może tak się po prostu utarło?

Dość że nie widziałem powodu, dla którego miałbym mu odmówić, kiedy tamtego wieczoru zaproponował mi ni stąd, ni zowąd, żebym z nim poszedł do jego dziewczyny. Oczywiście nie wiedziałem o nim tego, co teraz. A także nie przeczuwałem, że Avona... że w ogóle istnieje pod słońcem dziewczyna, która samą swoją obecnością, każdym słowem, uśmiechem, ruchem ręki potrafi przenosić człowieka w radosny, niepowtarzalny świat jego własnego dzieciństwa. Nie umiem tego nazwać inaczej, chociaż to, co czułem, patrząc na nią wtedy i słuchając jej głosu, nie miało nic wspólnego ze wspomnieniem mojego rodzinnego domu. Chodzi o atmosferę, jaka towarzyszy odnajdywaniu pierwszych pytań i przeciwstawianiu im pierwszych, buńczucznych odpowiedzi. O te wielkie tajemnice, w sobie samym i w otoczeniu, których rozwiązanie wydaje się wtedy sprawą niedalekiej przyszłości. I o pewność, że ta przyszłość nie przyniesie rozczarowań.

To wszystko było dawno. Na długo przedtem, zanim poznałem Airę. A także na długo przedtem, zanim Aira poleciała w ślad za nim na budowę tej bazy gdzieś w okolicy gwiazdozbioru Reticulum i zanim on, wróciwszy, poinformował nas, to znaczy Avonę i mnie, że zostaliśmy sami, bo Aira i on...

Tak. A jeszcze przedtem zrobił coś, co sprawiło, że stał mi się bardziej obcy, niż gdybym nigdy nie poznał jego Avony, a on mojej Airy. Potem już nie poszedłbym z nim do jego dziewczyny. Los, który połączył nas jako funkcjonariuszy Centrali, sprawił, że musiałem na niego uważać, chociaż oficjalnie nikt mnie o to nie prosił. Odetchnąłem, kiedy przełożeni postanowili wysłać go do gwiazd, co było z ich strony przejawem zakłopotania. Poleciał, by po jakimś czasie tam właśnie spotkać się z Airą. Wtedy już zresztą wiedziałem, że moje małżeństwo było błędem, że nigdy nie rozumiałem Airy. Jego oczywiście także, ale jego nie chciałem rozumieć. Nie chodzi o usprawiedliwienie, mogę jednak z czystym sumieniem powiedzieć przynajmniej jedno. Jeśli nawet w historii mojego związku z Airą odegrało jakąś rolę wspomnienie pierwszej bytności tutaj, w tym wrzecionowatym szklanym domku, smagłej twarzy o delikatnych, okrągłych kościach policzkowych, niejasnych przeczuć, które pojawiły się tak niespodziewanie, kiedy patrzyłem na jej uśmiech, słuchałem niskiego głosu, kiedy wodziłem wzrokiem po jej pięknych, nagich ramionach, to przecież nigdy nie dopuszczałem do siebie tego wspomnienia, nie pozwalałem sobie na żadne zabawy z tkwiącym we mnie, nie znanym mi chłopcem, nieodpowiedzialnym, zmysłowym i słabym.

Kos umilkł na moment. Chwilę panowała niczym nie zmacona cisza, po czym śpiew odezwał się znowu. Był teraz nieco przytłumiony, ptak przeniósł się widać do któregoś z sąsiednich ogródków.

Odwrociłem się i omiotłem spojrzeniem pokój. Na pulpicie stały teledatory, wygaszone klawisze kalkulatorów przypominały klawiatury starych instrumentów muzycznych. Tylko jedna przystawka komputera była pod prądem. Musiała pracować, kiedy przyszedłem.

– Przeszkadzam ci. Nie zostanę długo. Chciałbym tylko...

– Nie... – przerwała cicho. – Ostatnio nikt mnie nie odwiedza... tak się składa – poruszyła bezradnie głowę.

Odczekałem chwilę, po czym powiedziałem:

– Delikatność nie jest moją najmocniejszą stroną... Ale to nie tylko kwestia delikatności... skoro już sama zaczęłaś mówić o sobie. Dalej jesteś zakochana. Czy nic nie można na to poradzić?

Usłyszałem cichutkie westchnienie, a potem krótki, ledwie słyszalny śmiech.

– Jestem – powiedziała. – Poradzić? – W jej tonie pojawiła się gorycz. – Zapewne można by coś poradzić, gdyby nie tacy jak ty...

– Nie tylko jesteś dalej zakochana – patrzyłem jej teraz prosto w oczy – ale w dodatku wciąż pozostajesz pod jego wpływem. Oczywiście, gdyby każdy człowiek mógł w dowolny sposób korzystać z usług Gigama, zapewne i ty po kilku seansach potrafiłabyś zapomnieć o swoim zakochaniu. Ktoś inny równocześnie zatrudniłby System, żeby zyskać niezawodną receptę na ożywianie podobnych uczuć względem siebie... w człowieku, w którym skądinąd budzi, na przykład, fizyczną odrazę. Wiesz, że dla lekarza, dysponującego aparaturą do stymulacji pól, otaczających ośrodki mózgowe, nie stanowiłoby to żadnego problemu. Ale Gigam zawiera także inne informacje... Wszystkie, jakie posiadała nasza cywilizacja, łącznie z wynikami badań, z których w porę umieliśmy zrezygnować. Jesteśmy cisi, mądrzy, dobrzy i... różni...

– Całe szczęście...

– Nie wiem – powiedziałem pojednawczo. – Nie znam się na tym. Zapominasz tylko, że on robi dokładnie to samo co ja. A przynajmniej powinien to robić, jako pracownik Centrali. Pilnować, by nauka wchłaniała i przetwarzała tylko te informacje, które nasza współczesna cywilizacja jest w stanie przyjąć, bez naruszenia jej homeostazy. Żebyśmy w pewnym momencie nie obudzili się za tą nieuchwytną granicą, za którą nie tylko spokój, ale i dalszy rozwój nie są możliwe, ponieważ na skutek beztroskiej ciekawości jednostek nastąpiło oderwanie ludzkiego i stworzonego przez ludzi aparatu informatycznego od macierzy. Że to nie każdemu się podoba? Trudno. Nie wszyscy niedoszli samobójcy bywali zachwyceni, kiedy w ostatniej chwili ktoś przemocą uniemożliwiał im skok w przepaść. Powiedzmy, że ich ból, smutek, w ogóle emocje, były w danym momencie silniejsze niż głos rozsądku. Także teraz ciekawość wielu naukowców, przeróżnych pięknoduchów i... wybac, rozgoryczenie ludzi, trawionych nie spełnionymi uczuciami, każą im myśleć pożądliwie o teoretycznych i praktycznych możliwościach systemu Gigama... znajdującego się na wyciągnięcie ręki... – mimowolnym gestem wskazałem aparaturę. Poszła za moim wzrokiem. Kąciki jej warg drgnęły.

– Pewnie myślisz – mówiłem dalej – że ten spokój, jaki osiągnęła ludzkość, nie jest pełny, skoro ktoś tam, z braku dostępu do wszystkich informacji i sposobów ich spożytkowania, nie może się uporać ze swoimi stanami psychicznymi. Że tworzy się jakieś błędne koło, bo zdani na grę uczuć przy całej czujności naszych sit selekcyjnych, w pewien sposób tkwimy jednak po uszy w szumie informacyjnym. Ale to, widzisz, jest los jednostek. Tymczasem społeczność... – zmusiłem moją twarz do uśmiechu. – Avo, nie chciałabyś przecież, żeby świat, taki, jakim jest w tej chwili, znalazł się na łasce ciekawskich... prawda?

Opuściła powieki. Na jej twarzy leżał cień, ale wydało mi się, że lekko przybladła.

– Chwilami tak... – wyszeptała wreszcie, tak cicho, że ledwo usłyszałem. Następnie nagłym ruchem odrzuciła do tyłu włosy i roześmiała się nienaturalnie głośno.

– Widzisz, do czego prowadzą rozmowy o zmroku... kiedy za oknami śpiewają ptaki – powiedziała ze śmiechem. – Nie zwracaj uwagi na to, co mówię...

Sięgnęła do pomocnika i ponownie napełniła nasze szklaneczki. Uniosła swoją przed oczy i popatrzyła przez nią na mnie.

– Mówiłeś... – zaczęła.

– Ale już nie będę – uciąłem. – Czy wiesz, gdzie on teraz jest?

Westchnęła, odstawiła szklaneczkę i odwróciła twarz w stronę ogrodu.

– Znowu coś przeskrobał?

– Nie odpowiadałaś mi.

– I nie odpowiem, zanim nie usłyszę, czemu go szukasz. Mam prawo wiedzieć, skoro przyszedłeś z tym akurat do mnie. Coś się stało?

– Wyłączył swój kompon – poinformowałem ją krótko. – Straciliśmy z nim kontakt. Tymczasem jest potrzebny... i to zaraz. Jutro musi być poza Ziemią... daleko.

– Aż tak?

– Znacznie gorzej, niż możesz przypuszczać. A więc?

– Mieszka tutaj – powiedziała po krótkiej chwili zastanowienia. – Trzy domy dalej – uśmiechnęła się smutnie. – Znajdziesz go bez trudu... jeśli tam jest.

Wstałem. Raz jeszcze powiodłem spojrzeniem po jej pokoju, pogrążonym już niemal zupełnie w mroku.

– Idziesz?

– Tak.

– Czy on leci... tam?

– Tak.

– Dlatego jesteś taki rozdrażniony?

Zatrzymałem się. Przez chwilę wpatrywałem się w nią ze zdziwieniem, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza. Nagle zrozumiałem. Ona musiała tak myśleć...

– Dziewczyno – powiedziałem bardzo spokojnie – jutro w południe muszę się zameldować w sztabie Centrali. Razem z nim. Z Nettem. Tylko to jest dla mnie ważne...

Podniosła się powoli i zrobiła krok w moją stronę. Potrząsnęła głową, na której przy tym ruchu zatrzymał się przez mgnienie jakiś zbląkany złotawy refleks.

– Naprawdę? – spytała cicho.

Westchnąłem tylko.

– Więc zostań – podeszła jeszcze krok bliżej. Poczułem zapach jej skóry.

– Co?

– Przecież macie tam być dopiero jutro – szepnęła. – A poza tym wszystko jest nieważne. Jeżeli jest nieważne, to możesz zostać...

– Słuchaj, Ava...

– Zostaniesz?...

Pokój był pełen słońca. Przez otwartą ścianę wleciał wróbel. Okrążył pulpit, przysiadł na moment na antence datora, ćwierknął dwa razy jakby z dezaprobatą i wrócił do swojego świata. Pomyślałem, że i mnie czas wracać do mojego. Uśmiechnąłem się, skojarzenie było zbyt niedorzeczne.

Avona spała, przykryta do połowy lekką narzutą. Prawy łokieć podłożyła sobie pod głowę, jej twarz była niewidoczna pod chmurą włosów, które teraz, w świetle dnia, nabrały miedzianego połysku.

Wstałem, poszedłem do łazienki, ubrałem się, a kiedy wróciłem, uderzył mnie jej wzrok. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, z których uciekło już wspomnienie snu.

Podszedłem do leżanki. Poglądziłem Avonę po włosach i zatrzymałem chwilę otwartą dłoń na jej policzku.

– Nie wstawaj – powiedziałem, odwracając się, by przywołać bufecik. Postukałem w klawisze, zdobiące jego boczną krawędź i odesłałem go, żeby przyniósł zamówione śniadanie.

– Jesteś śliczna – powiedziałem. Odpowiedziała mi uśmiechem.

– Mówiłeś o zakochaniu – zaczęła czystym, spokojnym głosem. – Ja zresztą także. To była tylko gra – stwierdziła. – Naiwna, ale nie dziecinna. Nie dziecinna, bo nieuczciwa...

– Gdybym wiedział – mój głos zabrzmiał ochryple – nie zostałbym...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zostałbyś. Umiesz odrzucać zbędne informacje... ba, jesteś specjalistą...

Zapanowało milczenie. Nie mogłem jej powiedzieć, że się myli. Zaprowadziłoby to nas za daleko...

– Jestem człowiekiem bez jutra – powiedziałem. – Dziś lecę z Nettem do gwiazd...

Uniosła się szybko.

– Nie powiedziałeś mi...

– Ty także mi nie powiedziałaś – zareplikowałem bez przekonania. – Jesteśmy kwita...

Zjawił się pomocnik ze śniadaniem. Jedliśmy w milczeniu.

Kiedy automat wrócił do kuchni, zdobyłem się na uśmiech, po czym wstałem.

– Do widzenia.

– Czy mógłbyś być ze mną? – spytała.

Zagryzłem wargi.

– Lecę dzisiaj. Bądźmy rozsądni...

– Ty jesteś piekielnie rozsądny – stwierdziła bez szczypty ironii w głosie.

– Muszę już iść.

– Lecisz z nim... do Airy. Ona dalej tam jest, prawda? Dobrze, nie odpowiadaj. To jednak śmieszne...

– Co znowu śmieszne? – mimo woli odetchnąłem z ulgą. – Aira?

– To, że będziecie tam razem... ty, Nett i ona... mniejsza z tym – powiedziała szybko. – Plotę głupstwa. Wcale nie myślałam, że to będzie śmieszne. Lepiej idź już naprawdę...

Odczekałem chwilę, po czym bez słowa wyszedłem. Czułem, że jeszcze moment, a powiem jej, że i on, i ja mamy znikome szanse spotkania Airy... żywej.

– Znalazłeś mnie jednak – powiedział.

Nie odpowiadając minąłem go i wszedłem do identycznego pomieszczenia jak to, w którym Avona projektowała swoje tworzywa. I on miał tutaj pracownię. Ale cóż to była za pracownia!

Zatrzymałem się pośrodku i powiodłem spojrzeniem po ustawionych dokoła ścian przestrzennych szkicach, po na pół zamalowanych płaszczyznach i gotowych holoformach. Pomiędzy tym wszystkim walały się strzępy naświetlonej folii, kawałki różnych materiałów zapaskudzonych zwykłymi farbami, rulony błon fosforyzujących różnokolorowym, pastelowym światłem. Całość uzupełniały kamery, wąskie reflektory, teraz wygaszone, i wielkie, staroświeckie sztalugi. Obok nich rozbudowana do podejrzanych rozmiarów przystawka komputera ukazywała mnóstwo dodatkowych, naprędce skleconych łączów informacyjnych.

– Zadałeś nam trochę trudu – burknąłem. – Możesz mi jednak wierzyć, że nie szukałbym cię, gdybym nie musiał.

Zamknął za sobą drzwi i stanął na wprost mnie. Rozejrzał się, po czym rozłożył ręce bezradnym gestem.

– Tak tu wygląda. Tego się pewnie mimo wszystko nie spodziewałeś...

Mogłem mu z czystym sumieniem odpowiedzieć, że jeśli chodzi o niego, nic nie było w stanie mnie zadziwić. Nie przyszedłem jednak na pogawędkę. Poinformowałem go o tym.

– Więc czego chcesz? – wyszczerzył zęby pragnąc, być może, złagodzić obcesowość swojego pytania.

Zerknąłem na kompon. Dochodziła dziesiąta.

– Za dwie godziny zameldujesz się w Centrali. Pójdziemy tam razem.

Twarz mu zmierzchła. Szczupła, smągła twarz o ciemnych oczach i zbyt daleko wysuniętej brodzie. Twarz chłopca, kiedy się uśmiechał. Teraz przybrała wyraz ponurego uporu.

– Nie jestem już gigamowcem – warknął.

– Aby porzucić służbę w Centrali, trzeba czegoś więcej, niż wyłączyć kompon, odciąć się od ludzi i zaszyć w rupieciarni. Tak jakbyś o tym nie wiedział. Pozostaniesz gigamowcem... jak długo będziesz żył...

– To wcale nie musi być tak długo – bąknął odwracając głowę.

– Nie. Zwłaszcza że dziś jeszcze lecimy na Betę Telmura. Od dwóch tygodni stacja milczy. Nikt nie wie, co się stało. I nikt nie powie głośno, co mogło się stać. A także co może spotkać tych, którzy polecają, aby przekonać się na miejscu, czy zostało tam coś do zrobienia.

Mówilem umyślnie z brutalną otwartością. Nie chciałem, żeby się przede mną rozklejał. Osiągnąłem swój cel, ale tylko częściowo.

Stał chwilę jak skamieniały. Wreszcie wykrztusił z trudem:

– Aira...

– Co Aira? – burknąłem.

Przełknął głośno ślinę.

– No, przecież... ty...

– Jeżeli już ktoś, to raczej ty – uciałem. – Tak, Aira. Ale oprócz niej jeszcze trzech ludzi. I każdy z nich ma tu kogoś... tak samo jak Aira.

Odwrócił się. Jego twarz była biała jak kreda.

– Czy to ty? ... – urwał.

Poczekalem kilkanaście sekund. W końcu zaczął mnie ogarniać gniew.

– Co ja, do ryżego diabła?!

– No... czy to był twój pomysł, żebyśmy lecieli tam razem?

Zacisnąłem pięści.

– Jeśli o mnie chodzi, jesteś ostatnim człowiekiem, jakiego chciałbym mieć na pokładzie. Bądź przekonany, że będę ci dobrze patrzył na palce. Niestety tak się składa, że z naszych tylko ty byłeś na Telmurze i że należałeś do ekipy konstrukcyjnej, która budowała stację. Czy coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Nie odpowiedział. Stał jakiś czas bez ruchu, po czym nie patrząc w moją stronę zniknął za drzwiami prowadzącymi do sąsiedniego pokoju.

Nett. Obszerny rozdział w moim życiu, skądinąd raczej niezbyt skomplikowanym. Przyszedł do Centrali z dwoma dyplomami, grawitonika i biomatematyka. Obydwa były opatrzone opiniami, sformułowanymi w samych superlatywach. Przedstawił mnie Avonie, a potem, dwa lata temu, polecił budować stację badawczą na orbicie trzeciej planety Bety Telmura, gdzie jedna z sond wykryła bezprecedensową w kosmosie postać materii ożywionej. Rok później, kiedy budowa była już zaawansowana, na stację przybyła ekipa uczonych, która miała stanowić jej właściwą załogę. Wśród nich znalazła się Aira. Tak się spotkali. A zaraz po jego powrocie dowiedziałem się, że pełniąc dyżur wyłączył kilka sekcji zablokowanego selektora informatycznego Gigama, głównego selektora informacji, jakie od słonecznego systemu komputerowego otrzymywał zamieszkały świat.

Kiedy mi o tym powiedziano, sądziłem początkowo, że zaszło nieporozumienie, wynikające ze złego odczytania kontrolnej pamięci Gigama. Prędko się jednak przekonałem,

że żadnego nieporozumienia nie było. Przez kilka godzin największy w historii cywilizacji system informacyjny pracował bez sit kierunkowych. Ktoś, kto w tym czasie zadałby Gigamowi pytanie o, dajmy na to, sposób likwidacji ziemskiego systemu regulacji urodzin, kto zapytałby o możliwość ekspansywnego rozwoju naszej cywilizacji po zasiedleniu okolicznych słońc, mógł otrzymać wyczerpującą informację, opatrzoną kompletem recept technologicznych. Każdy badacz, fantasta, maniak miał możliwość uruchomienia wszystkich pokładów wiedzy i sprzężenia ich przez najdoskonalszą aparaturę wnioskującą dla sprawdzenia najbardziej szalonych, najdalszych od ekstrapolacyjnej linii rozwojowej, obowiązującej naukę, hipotez i, co gorsze, dla ich urzeczywistnienia. Na szczęście do żadnej katastrofy nie doszło. Może nikt „zainteresowany” nie zorientował się w porę, a może tych zainteresowanych nie było aż tak wielu, jak to sobie wyobrażali szefowie Centrali. Nie zmieniało to jednak sytuacji, w jakiej znalazł się Nett. Nikt nie posądzał go o świadomą próbę zniszczenia ziemskiej cywilizacji czy choćby poważnego naruszenia jej homeostazy, ale nikt też nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co powodowało funkcjonariuszem Centrali, gdy porywał się na tak niesłychany postęp.

Po powrocie z Telmura Nett został poddany kilku przesłuchaniom, po czym zniknął. Nie sędzę, aby szukano go zbyt skwapliwie. Jego ucieczka była w gruncie rzeczy na rękę nie tylko kierownictwu Centrali, ale i Radzie Wykonawczej.

Wyłączył kompon. Wyłączył ten miniaturowy aparacik, który nosił na przegubie dłoni każdy współczesny człowiek.

Któż dziś prowadziłby jakieś książki adresowe, kto zawracałby sobie głowę ewidencją czy dokumentami tożsamości, jeżeli każdego człowieka, w każdym zakątku kuli ziemskiej i poza nią, można odnaleźć w ciągu dwóch sekund, za pośrednictwem zbiorowej anteny czasowej, umożliwiającej wyszukiwanie charakterystyki fal biologicznych kilku miliardów poszukiwanych osobników równocześnie. Mało kto wie, jak funkcjonuje kompon. Sędzę zresztą, że dwieście lat temu równie mało ludzi wiedziało, jakie urządzenia tkwiły w popularnych wówczas zegarkach elektronicznych.

Ten przedmiocik, zbudowany z litego kawałka komponentu, ożywiany falami biologicznymi, jest potrzebny jak woda i powietrze. Ma mały, chowany ekranik, na którym w każdej chwili można ujrzyć twarz wzywanego człowieka. Jeśli tylko, rzecz jasna, chciał nawiązać łączność. Inaczej kompon przekazuje tylko jego sygnał biologiczny, potwierdzając odbiór wezwania. Płynne kryształki zastępują telefon, telewizor, obliczają czas rzeczywisty i relatywny, wyręczają domowego lekarza. Tylko szalenieć może wyłączyć swój kompon.

Drzwi stuknęły lekko. Spojrzałem w ich stronę i ujrzałem go w białym roboczym ubraniu, identycznym jak moje. W ręku trzymał niewielką, gruszkowatą torbę. Miałem taką samą, była już w Centrali. Stał się znowu jednym z nas... przynajmniej pozornie.

– Malujesz – wskazałem ruchem głowy stojące dookoła obrazy.

Poszedł niechętnie za moim wzrokiem i przez chwilę wpatrywał się w swoje płody, jakby ujrzał je pierwszy raz w życiu. Wreszcie uniósł lekko brwi.

– Takie tam... holomazy... – wybąkał.

Na wprost mnie stał wielki obraz, składający się z trzech skrzydeł, na podobieństwo starożytnych ikonostasów. Srebrzystobiałe tło świeciło. Na tym tle uwidaczniały się jaskrawe linie, zmierzające jakby w tym samym kierunku, jednak różnymi, mniej lub bardziej zawiłymi torami. Zasadnicze kierunki były różne dla każdej z trzech części holoformy. Przestrzeń między skrzydłami żyła od tego białosrebrzystego światła i wijących się w nim krzywych. Gdyby ktoś chciał przedstawić graficznie szum informacyjny, nie mógłby z pewnością wymyślić niczego lepszego.

– Czy to coś znaczy? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Pytanie, jakiego z pewnością już od dziesiątków lat nie usłyszał żaden malarz – stwierdził. – Na szczęście ja nie jestem malarzem. Podoba ci się?

Pokiwałem głową.

– Sześćset lat temu pewien człowiek powiedział, że wymarzonym polem do działania dla oszusta jest dziedzina zjawisk nieznanych – oświadczyłem pogodnie. – Sama niezwykłość tego, co się opowiada, budzi zaufanie do opowiadającego. Oprócz tego opowieści te są bezkarne, nie podlegają prawom logiki. To ostatecznie pozbawia nas środków do walki z oszustwem... Ten człowiek nazywał się Montaigne, gdyby cię to interesowało.

– Ja niczego nie opowiadam.

– Gorzej – warknąłem. – Ty się wypowiadasz! Czy dlatego wyłączyłeś wtedy selektory, aby wsłuchać się w bełkot informacyjny i zaczerpnąć z niego natchnienie dla twojej... twórczości? – nie mogłem się powstrzymać, by tego ostatniego słowa nie wymówić z przekąsem.

On jednak przyjął pytanie jak najbardziej serio.

– Częściowo tak – powiedział spokojnie. – Jedni grają w bridża, ktoś inny kolekcjonuje zeschnięte liście, a ja maluję. Odtwarzam to, o czym myślę, ozdabiając te myśli... aby mi się podobały. Czy to coś złego?

– Jak na funkcjonariusza Centrali, grawitonika i biomatematyka chyba zbyt wiele uwagi poświęcasz urodzie własnych myśli. Więc o tym myślałeś... wtedy? No cóż, muszę przyznać, że można tak to sobie właśnie wyobrazić...

Zaśmiał się krótko.

– Jako grawitonik i biomatematyk interesuję się różnymi rzeczami... także takimi, którymi mi ponoć interesować się nie wolno. Dlatego wyłączyłem selektory... czego nie żałuję, chociaż ty tego nigdy nie zrozumiesz. A to... – ponownie wskazał na swoje obrazy – jest wtórne...

– Całe szczęście, że wyżywasz się jako artysta, a nie przyszło ci na myśl, na przykład, bawić się kolorowymi mozaikami, które układałbyś z twoich paneli logicznych. Jako biomatematyk byłbyś wtedy naprawdę groźny... co nie znaczy, że teraz uważam cię za bezpiecznego.

Znowu się zaśmiał.

– Ale ja tylko maluję – powtórzył. – Wspomniałeś o kimś, kto powiedział sześćset lat temu coś, jak mu się zdawało, rozsądnego. Chciałbym ci przypomnieć, że grubo przed nim ktoś inny zapisał następujące zdanie: „Istota człowieka wyraża się w tym, że tworzy on zarówno mechanikę, jak i malarstwo”. Autorem tej sentencji, która mnie osobiście dość nawet odpowiada, jest niejaki Leonardo da Vinci...

– Nie zbywa ci na skromności – zauważyłem przyjacielskim tonem.

– Skromność nie ma tu nic do rzeczy – obruszył się niespodziewanie. – Zarzuciłeś mi, że się wypowiadam, mając oczywiście na myśli poglądy, które uchodzą za wywrotowe i zagrażające harmonijnemu rozwojowi cywilizacji. Ale, w końcu, nie prosiłem cię, żebyś tu przychodził i oglądał moje fantazyjki. A także nie urządzam wystaw i nie wygłaszam na nich publicznych prelekcji. Spytałeś, to ci odpowiadam.

Usiadłem na czymś, co przypominało stojącą beczkę, nakrytą strzępem gobelinu, znalezionym w magazynach fatalnie zaniedbanego muzeum.

– Mamy jeszcze trochę czasu – powiedziałem. – Możesz sobie nie przeszkadzać i nie przejmować się tym, że tu siedzę. Punktualnie za dziesięć dwunasta wyjdziemy... razem.

Odgarnął czarne jak smoła włosy i westchnął. Zawahał się przez moment, po czym umieścił swoją torbę na sztalugach i usiadł naprzeciw mnie.

– Dobrze – mruknął. – Poczekamy. A jeśli chodzi o to, co się zdarzyło na Telmurze, to ja tylko w pewnym momencie przeholowałem z oceną własnej indywidualności. Ale w końcu

każdy człowiek ma do niej prawo, czy nie tak? To, jak mi się zdaje, jeden z podstawowych atrybutów naszego porządku?...

Wzruszyłem ramionami.

– Mówisz o osobowości, a myślisz o indywidualizacji stylu życia. Zrealizowaliśmy najpierw łączność ideową, za nią przyszły inne związki. Wyeliminowaliśmy przypadkowość z procesów rozwoju osobowości. Dzięki odseparowaniu od szumu informacyjnego przyrody, osiągnęliśmy równowagę wzajemnych zależności w naszej dynamice społecznej. Te związki między nami zostały powszechnie przyjęte i zaakceptowane. Z wyboru, nie z przymusu. Takie są prawdziwe przesłanki indywidualizacji stylu życia. Tymczasem ty sam, strażnik, wyłączasz selektory głównego systemu komputerowego, rzucając na nasz świat potop nie kontrolowanych informacji o wszystkim... – powtórzyłem, dziwiąc się w duchu, jak pusto brzmi to słowo. – A potem – podjąłem szybko – nazywasz ten swój postępek „przeholowaniem”? Nie ja zaczynałem tę rozmowę, ale...

– O wszystkim? – przerwał mi w pół zdania. – Czy zastanowiłeś się kiedyś nad tym, co to znaczy?

Teraz w każdym razie zastanowiłem się. Uderzyło mnie, jak celnie trafił w tę strunę, którą ożywił we mnie przed chwilą sam dźwięk słów: informacja o wszystkim...

– Nie odpowiadasz – w jego głosie pojawiła się ironia. – Ta rozmowa rzeczywiście nie ma sensu. Za trzy godziny będziemy w przestrzeni i wtedy wszystkie myśli, które tutaj przychodzą nam do głowy, staną się zbędne, a nawet szkodliwe. Nie bój się. Rozumiem to tak samo dobrze jak ty, chociaż godzę się – wykrzywił usta w gorzkim grymasie – że musisz mi patrzeć na palce... jak sam byłeś łaskaw się wyrazić. Teraz jednak skończę, skoro już zacząłem. Uważam, widzisz, że człowiek istnieje po to, aby obcował ze wszystkim. Jeśli, naturalnie, nie myśli się o jednym czy dwóch, a niechby nawet pięciu pokoleniach, tylko o ludziach w ogóle. Nasz styl życia... cóż. Ty sądzisz, że szum informacyjny to jedynie bałagan, prowadzący do kryzysu...

– Upraszczaś – powiedziałem. – Ale w zasadzie masz rację. Tak uważam. Kiedyś było inaczej. Kiedyś rodzili się ludzie, wyprzedzający swoją umysłowością epokę... i oni ciągnęli wózek do przodu. Dzięki przypadkowym połowom w morzu informacji udało się naszym przodkom opanować choroby, agresywność, kult posiadania przedmiotów... zgoda. Tylko to było dawno, a sprawy, o których mówiłem, musiały być rozwiązane... tak jak musiał być rozwiązany głód energetyczny, bo bez tego po prostu przestalibyśmy istnieć. Cytowaliśmy tu dwóch mędrców. Zacytuję trzeciego. Przypomnij sobie, kiedy żył Marks. A przecież to on, już wtedy, powiedział, że podstawowym problemem jego epoki, podstawowym problemem ludzi prowadzących jeszcze wojny, gromadzących w bankach kapitały prywatne, głodujących, umierających na raka i tonących podczas powodzi, jest rozwiązanie sprzeczności między równoczesnym bogactwem i ubóstwem informacji...

Zerwał się ze swojego taboreciku z takim impetem, że aż go przewrócił. Oczy mu zabłyśły.

– Człowieku! – zawołał wysokim, niemal piskliwym głosem. – Człowieku! Gdyby współcześni i ich dzieci zrozumieli te słowa Marksa tak jak ty...

– Nie zaperzaj się – przerwałem z uśmiechem. – Chyba nie masz naprawdę zamiaru mnie przekonać... tak jak ja nie chcę nawracać ciebie. A jeśli wspomniałem o twoim malarstwie, to tylko dlatego, że jako dobry funkcjonariusz Centrali zwalczam szum informacyjny pod każdą postacią. A może boję się utyć? Przecież wiesz, że informacja posiada masę. Można się o tym przekonać, badając długo pracujące komputery. Wszystkie wykazują przyrost masy...

– Przeczysz ruchowi, chociaż przed chwilą powoływałeś się na Marksa. Nie muszę ci chyba przypominać, że sensem ruchu jest tendencja do zwiększenia masy, a skrócenia czasu...

– Po jednym zdaniu, po jednej myśli z każdej specjalności i z każdego jej przedstawiciela... niezależnie od epoki, w której żył. Oto sposób na zaspokojenie twojej tęsknoty do zanurzenia się w ożywczym oceanie informacji. Ale rad jestem, że żartujesz. Dobry nastrój będzie ci potrzebny... zresztą mnie także.

Sposepniał. Jego wysoka, szczupła sylwetka zmaląła nagle, przygarbiła się. Ustawił ponownie taborecik i usiadł na nim, nisko spuszczać głowę. Po chwili, nie odrywając wzroku od podłogi, spytał cicho:

– Dlaczego właśnie ty lecisz? Ze względu na Airę?

– Nie.

Czekał na coś więcej. Milczałem.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Wracam od Avony.

– Od Avony? – w jego głosie zabrzmiało niedowierzenie. – Ona ci powiedziała?

Wstałem i podeszedłem do przezroczystej ściany, za którą rozpanoszyła się bujna, skłębiona zieleń. Nie było tu obsypanych różowym śniegiem migdałowców ani innych kwiatów. Przez szybę nie przedostawał się najcichszy dźwięk z zewnątrz. Pomyślałem, że kto jak kto, ale właśnie on powinien lubić ptaki. Widać jednak wystarczyły mu głosy, które rodziły się w nim samym. I te uchwycone w jego holoformach.

Odwróciłem się. Siedział w nie zmienionej pozycji, wpatrzony w czubki własnych butów. Człowiek, z którym miałem lecieć na koniec świata... Nett. Chłopiec Airy. Komedia...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI